

mamę martwić opowiadaniem głupich plotek o mnie i o Romku.

— I ja mam, mam to przekonanie, że wuj prócz spóźnionych nauk i rad, nic nam nie pomoże. To ciasna dusza filistra i biurokraty.

— Jesteście niesprawiedliwi, — narzekła matka, — nie mówię o Paulisi i Klimci, one są dziwnie rozgoryczone do nas, ale Jaś, to zacny i uczynny człowiek. I jak możesz, Romanie, być tak niewdzięcznym, kiedy pierwszy wuj szukał dla ciebie posady i starał się o protekcję.

— I bardzo dużo z tego mi przyszło, — zaśmiał się ironicznie, — poznałem kilku nadradców, nadinżynierów, dyrektorów, same nudne, stare kompatory.

— Że mu się nie udało, to nie racya drwić z niego, zawsze miał dobre chęci pomódz nam, a taką zyczliwość należy cenić.

— Wuj Jaś, to słaba strona mamy, — zaśmiała się Irena, — czy też on nie nadskakiwał kiedyś mamie? bo on to lubi.

— Także coś, — obruszyła się, — był już żonaty, kiedy go poznałam. Nie zatrzymujmy Romcia, niech idzie do adwokata.

Wieczorem wrócił Roman i z przykrością zawiadomił matkę, że wydobyć kaucyi potrwa dość długo, a zataił obawę adwokata, iż z kaucyi tej w najlepszym razie da się uratować tylko jakiś nieznaczny procent.

W trzy dni po ogłoszeniu upadłości zgłosił się do Czajkowskich właściciel kamienicy i oświadczył z chłodną powagą:

— Pan stracił posadę, wobec tego nie mam gwarancyi, że będzie pan regularnie co pierwszego płać za mieszkanie, a nawet, czy wogóle będzie pan płać; z tego powodu żądam wypłaty kwartalnej, i o ile pan posady nie otrzyma, proszę o opróżnienie mieszkania po najbliższym kwartale.

— Wypowiedzieć panu wolno, — odparł oburzony Roman, — ale mimo że posiadam gotówkę, będę panu płać czynsz miesięcznie bo taka jest nasza umowa.

— Zobaczmy, — uśmiechnął się drwiąco właściciel, — nie przyszedłem zresztą na kłótnie i żegnam pana, a co powiedziałem, tego dotrzymam.

Wkrótce spostrzegli Czajkowscy wielką zmianę na gorsze ze strony sługi, stróża, sklepikarki i wogóle ludzi, z którymi ich łączyły jakiegokolwiek stosunki pieniężne. Wszyscy traktowali ich podejrzliwie i nie ufali ich słowu.

Na gorący list Czajkowskiej przyszła po kilku dniach odpowiedź Terlikowskiego, że przeciwny jest z zasady jakimukolwiek wpływaniu na bieg spraw sądowych i nigdy w żadne protekcje w tym kierunku się nie wdawał i nie wdaje, a dodatkowo donosi o żonie i córce, że są bardzo zajęte przygotowaniami do wyjazdu na lato, który w tych dniach nastąpi.

Czajkowska spłakała się i te łzy zdradziły ją przed dziećmi, które mimo swych uprzedzeń do wuja, odczuły bardzo przykro ton chłodny i zrywający jego listu.

— Wszyscy nas opuścili, — skarżyła się matka. — Zdawało mi się, że doktor Lencki jest inny, ale i ten o nas zapomniał.

— Istotnie, tego i ja się nie spodziewałam, — zachmurzyła się Irena, — pozował na wyjątek wśród Krakowian, a jest taki sam jak inni.

Przykro było Romanowi słuchać tych oskarżeń, ale nie umiał i nie mógł stanąć w obronie Lenckiego, który od chwili, gdy przy spotkaniu z nim w mieście dowiedział się o zamknięciu fabryki, nie był ani razu u nich, jednak powiedział na chybił trafił:

— Możliwe jest, że doktor wyjechał, wspominał mi coś o tem, — kłamał z całą świadomością, — że wyjedzie jako lekarz do któregoś zdrojowiska.

— Mogł przynajmniej napisać kilka słów, bo napewno domyśla się, jak nam ciężko i smutno wśród tych ludzi tak obcych, tak niechętnych, ciesząc się z cudzego nieszczęścia.

Na dzwonek w przedpokoju, powiedziała matka zdziwiona:

— A któż to do nas przychodzi?

— Może która z koleżanek Irenki, — szedł Roman drzwi otworzyć i za chwilę witał głośnie doktora, który, skłoniwszy się Irenie, całował rękę Czajkowskiej i usprawiedliwiał się:

— Wyjechałem tak nagle z Krakowa, wezwany telegraficznie, że nie miałem czasu zawiadomić Romana o mym wyjeździe.

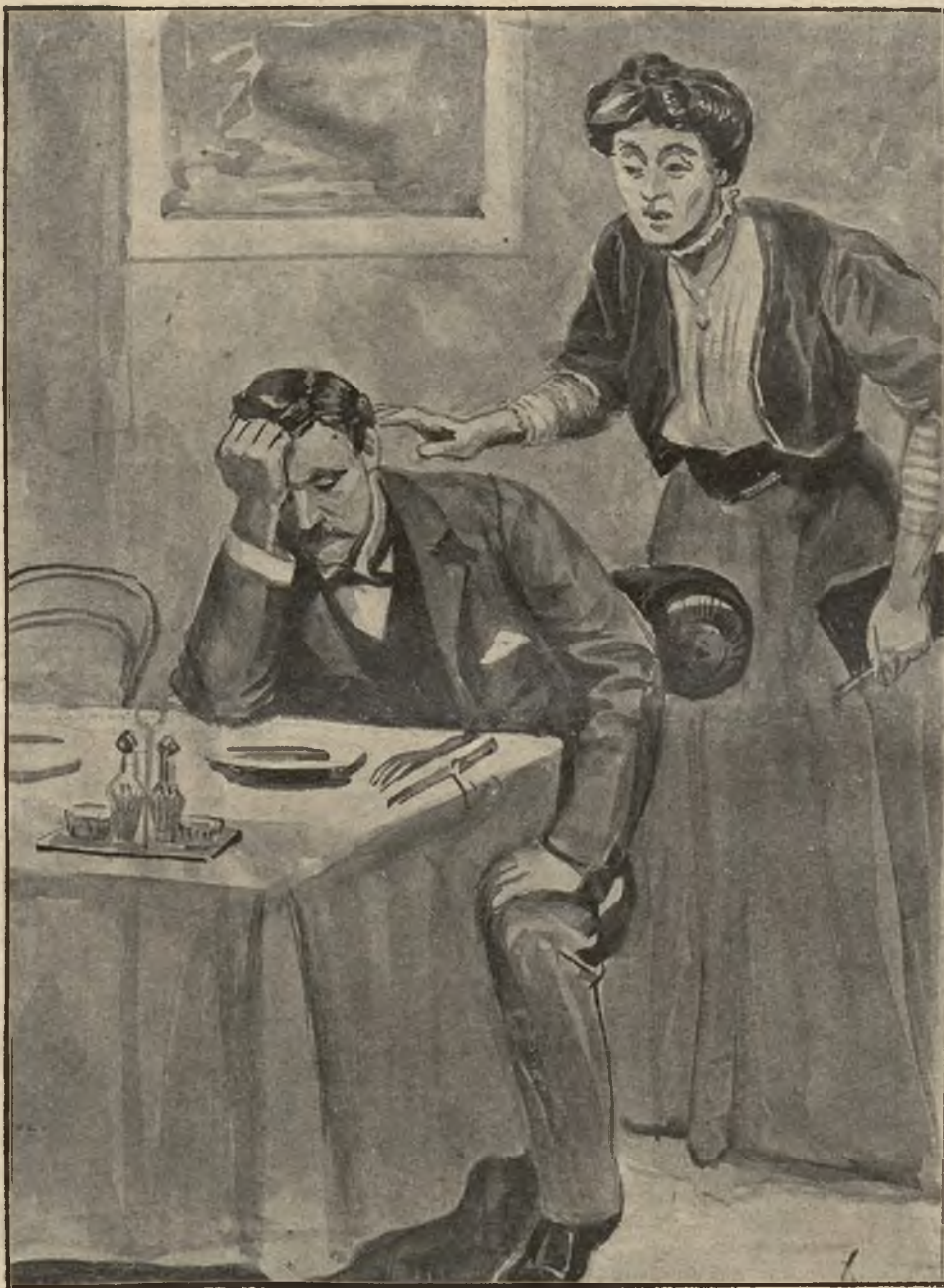
— Było to nam trochę przykre, ale dobrze, że pan wrócił, z panem zawsze raźniej, — uśmiechała się przyjaźnie Czajkowska.

— Dobra to rzecz wyobraźnia, — zaśmiał się. — A pani, panno Ireno, nie zapyta, gdzie byłem?

— Zapewne w dzikim kraju, gdzie poczty nie istnieją, — odparła wesoło.

— Odpłacę się pani szlachetnością. Przed półgodziną wróciłem z Warszawy, mam ją jeszcze w oczach, w uszach, w sobie całym. Czy zazdrości mi pani?

— Bardzo szczerze. Ale co pan tam robił przez tak długi czas?



— Romeciu, ty coś ukrywasz? Czy spotkało cię coś nieprzyjemnego?

— No, nie tak bardzo długi. Zostałem wezwany do chorego w Poznańskie i wstąpiłem do Warszawy.

— Poznań a Warszawa? — zaśmiała się, — wstąpił do piekła, po drodze mu było.

— Piekło robią tam tylko nasi opiekunowie, ale my tam żyjemy pełnym życiem. Cóż u państwa słychać? Obawiam się, że niewesoło to były chwile dla państwa?

— Ach, panie doktorze, — odezwiała się z żalem Czajkowska, — z wyjątkiem dwóch czy trzech znajomych Romcia inni nie chcą nas znać, podejrzewają, że chcemy ich wyzyskać, oszukać, że zarządzą pomocy, pożyczki... nigdy nie przypuszczałam że w tym Krakowie żyją tacy egoiści nieużyteczni, wprost nieprzyjemni dla nas, którzy im nic złego nie zrobiliśmy.

— No, no, aż tak dalece, — uśmiechnął się doktor.

— Tak, panie doktorze, — zawołała Irena, — to gniazdo filistrów i sobków bezmyślnych. Prócz biura, piwa i plotek nic ich nie zajmuje, niczem się nie interesują i żyją jak pasożyty pięknego, starego Krakowa.

— Ale polskiego Krakowa, panno Ireno?

— No, już o Polsce żaden z Krakowian nie myśli, im wystarczy pensya i emerytura austriacka.

— I ja jestem tego zdania, — dodał Roman, — Polska dla nich, to chorobliwa chimera, której unika i wyrzeka się każdy porządny Galicyanin.

— Wiecie moi państwo, — zaczął doktor, — z kilku, kilkunastu, czy kilkudziesięciu okazów przypadkowo spotkanych, nie można sądzić o faunie i florze całego kraju, byłoby to i niesprawiedliwe i nielogiczne. Moi mili współobywatele krakowscy nie są wcale ideałami i przyznają, że posiadają dużo niemiłych wad i błędów, ale w gruncie rzeczy są to dobrzy ludzie i w danej chwili potrafią bez szemrania spełnić swój obowiązek, trzeba tylko ażeby ktoś do nich właściwie przemówił i poruszył trochę senną i zmateralizowaną duszę.

— Nie wierzę w to, — upierała się Irena.

— A ja odpowiem pani znany frazesem: „*grattez un Prussien vous trouverez toujours un barbare*“, a tu się da powiedzieć: *grattez un Cracovien vous trouverez toujours un Polonais*.

— Ładny frazes, ale tylko frazes.

— Zobaczmy, — i doktor począł się rozpytywać o ich plany na przyszłość.

Wśród rozmowy odezwał się Roman:

— Gdybym miał tylko możność powrotu do Warszawy, bierz lichą całą kaucję i wszystkie posady krakowskie, mam listowną propozycję objęcia od października miejsca zarządającego filią warszawską jednego z najpoważniejszych domów handlowych z pensją trzy tysiące rubli rocznie prócz tantiemy.

— Panie doktorze, a co słychać w Warszawie? Czy nie mówią o jakich pomyślnych zmianach? — spytała Czajkowska, — bo w takim razie możeby pozwolono nam wrócić.

— Nic nie słyszałem, ale przypuszczam, że powrót państwa będzie możliwy, jeśli nie w październiku, to na przyszły rok.

— A pan skąd wie? — zawołała Irena.

— Przy sposobności rozmawiałem ze znajomymi o panu Romanie i od nich mam tę wiadomość.

— Ach Boże, Boże! żeby to się sprawdziło! — westchnęła Czajkowska.

— Tego i ja życzę państwu, chociaż utracę wasze miłe towarzystwo, — spojrzał doktor na Irenę.

— Ale nie naszą przyjaźń, panie doktorze, — odpowiedziała Irena, — bo pan jest jedynym żywym człowiekiem dla nas w Krakowie.

— Tego rodzaju komplement mogę przyjąć, — zaśmiał się doktor, — bo istotnie żyję, oddycham, patrzę, słyszę...

— I czuję, — dodała Irena.

— Tak, czuję dobroć i łaskawość pani, — uśmiechnął się, — no a ci inni panno Ireno?

— I oni robią na mnie wrażenie emerytów przeżytych, nie żądających już nic od życia, prócz spokojnego wegetowania.

— Tak, to niezłe określenie, ale starszych ludzi, ze stanowiskiem...

— I młodzież taka sama. W myśli i w sercu tylko karyera, szukanie protekcji, chociażby drogą pokory i wstrętnej uniżoności.

— Nie zna pani ludu, tych prawdziwych Krakowiaków. Co za temperament, jak w nich wrę, kipi i przewala się życie, jaki rozmach w tańcu, w robocie, w bijatyce! Tylko tacy mogli gołemi rękami zdobyć armaty pod Racławicami i przyciągnąć je wśród śpiewu i okrzyków na rynek krakowski.

— Żałuję, że nie znam ludu krakowskiego, chociażby dlatego, że pan się nim tak zachwyca, ale nie miałam sposobności.

— Ani ja, — dodał Roman.

— A wiecie państwo, — uśmiechnął się doktor, co to znaczy poznać?

— Iść między nich, żyć z nimi, — tłumaczyła Irena.

(Ciąg dalszy nastąpi).